

665 — Mam ogromną chęć, aby jak najwięcej pracować, mam zapas sił, który pozwala góry przenosić...

Myślę, że pod tym zdaniem Jadwigi Jankowskiej-Cieślak podpisałoby się oburącz wielu młodych aktorów, traktujących poważnie swoją trudną profesję. Pragną mierzyć się ze sceną, zbierać doświadczenia, sprawdzać własne możliwości w przyspieszonym tempie. Rzeczywistość teatralna — o ironia losu! — darowuje im jednak najczęściej czekanie. Dowodzi, że cierpliwość jest najpierwszą cnotą. Ostudza zapasy. Ile talentów zostało w ten sposób zaprzepaszczonych — pozostanie tajemnicą.

Jadwigę Jankowską-Cieślak można by zaliczyć do wybrańców losu. W rok po studiach dołączyła do zespołu Teatru Dramatycznego w stolicy. Publiczność oklaskuje ją na tej scenie drugi sezon.

— Trafiłam na ciepłarniane warunki. Zespół nie jest zbyt wielki, atmosfera sympatyczna. Dyrektor Holoubek okazuje życzliwość młodym aktorom. Prowadzi, jak się to mówi, teatr aktorski, co mi bardzo odpowiada. Niektóre koleżanki opowiadały mi, jak trudne było ich wejście do teatru. Nie chciałabym znaleźć się w ich skórze.

W pierwszym sezonie zagrałam dwie role: jedną tytułową



Rola Elektry w sztuce Giraudoux i Małki w „Słubie” Gombrowicza a także filmowe zwycięstwa, przyniosły młodej aktorce, absolwentce warszawskiej PWST (dyplom z wyróżnieniem) laur Jego Magnificencji rektora Tadeusza Łomnickiego, przyznawany wyróżniającym się wychowankom tej uczelni po dwóch sezonach samodzielności scenicznej. Na zdjęciu: Jadwiga Jankowska-Cieślak z Andrzejem Szczępkowskim w scenie z „Elektry”.

GRAĆ WIĘCEJ

wą w „Elektrze” Giraudoux i mniejszą — Małki w „Słubie” Gombrowicza.

— Czy to dużo, czy mało? — Premier, jak to jest w naszym zwyczaju teatralnym, nie ma zbyt wiele. Wszyscy, co zrozumiałe, chcą grać. Wielu powiedziałoby, że dwie takie role wystarczą jak na jeden sezon. Ja chciałabym grać jednak więcej.

Najciekawsza i najbardziej pouczająca dla młodego aktora jest praca nad nową rolą. Próby i pierwsze przedstawienia — to jest twórczość. Powtarzanie przez wiele wieczorów tej samej roli — to już tylko wykonywanie zawodu.

— Miała Pani szczęście zetknąć się od początku z wybitnymi reżyserami.

— „Elektrę” reżyserował Kazimierz Dejmek, o którym się mówi, że jest wrażliwy na aktora. Dla wykonawcy to najcenniejsza cecha reżysera.

Lubię, gdy czegoś się ode mnie wymaga, gdy się ze mną walczy. Im więcej się człowiek namęczy, tym większa satysfakcja. Nie lubię, gdy się za bardzo na mnie polega.

— Które więc przedstawienie przyniosło Pani największe zadowolenie?

— Pokaz dyplomowy „Aktów” w reżyserii Jerzego Jarockiego. Byłam studentką przeciętną, niczym się nie wyróżniająca; znajdowałam się raczej na szarym końcu. W „Aktach” (obejmujących utwory Wyspiańskiego, Mrożka, Gombrowicza i Witkiewicza) powierzono mi rolę tytułową w „Matce” Witkacego. Było to rzetelne, trudne zadanie aktorskie. Wydawało mi

„SM” rozmawia z Jadwigą Jankowską-Cieślak

się ponad moje siły. Pracowałam z wielkim samozaparciem, z całą energią, na jaką było mnie stać. Najmilej tę pracę wspominam.

— Spotkała się Pani przecież ponownie z Jarockim w „Słubie” Gombrowicza w Teatrze Dramatycznym...

— W szkole wyglądało to trochę inaczej. Profesorowie wymagali od studentów coraz nowych propozycji. Mieli więcej czasu, aby zajmować się każdym z osobna.

Rola Małki w „Słubie” nie należy do najważniejszych.

Reżyser miał wiele problemów związanych z postaciami Henryka, Ojca, Pijaka.

Mnie samą pociągają bardziej postacie o skomplikowanej psychice, krętej drodze życiowej; stąd to upodobanie do Małki.

— A co z Elektrą, o której krytycy wyrażali się z takim uznaniem?

— Jest to postać bardziej historyczna niż współczesna. Sam utwór wydawał mi się mocno przestarzały.

— Miała Pani także propo-

zycję wejścia do innych teatrów...

— Do Teatru Starego nie mogłam pojechać. W Warszawie mam dom, męża, córeczkę Zosię. Nie dorobiliśmy się dotychczas, niestety, mieszkania. Siedzimy na głowie rodzicom.

— Dotychczas mówimy tylko o teatrze. A przecież znacznie więcej widzów zna Panią z dużego i małego ekranu. Wszystko zaczęło się w czasie, gdy Pani była jeszcze studentką, od filmu „Trzeba zabić tę miłość”. Stworzyła tam



Jadwiga Jankowska-Cieślak stworzyła znakomitą kreację w „Elektrze” Giraudoux. Dzięki niej i Gustawowi Holoubkowi w roli Zebraka przedstawienie wzbudziło tak wielkie zainteresowanie.

Pani bardzo sugestywną postacią młodej współczesnej dziewczyny, o której bardzo wiele się mówiło. Otrzymała Pani za tę rolę „Złotą gronó” w Lagowie.

— Tak, to był mój debiut. Przyznam, że tylko raz oglądałam ten film. I wbrew temu, że miał znakomitą prasę i pochlebnie oceniali go ludzie wybitni, których cenię, nie podzielałam ich zdania. Wynikało to trochę z młodzieńczej przekory i krytycyzmu.

Współpraca z reżyserem Morgensternem była jednak dla mnie pasjonująca. Zresztą wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z filmem. Byłam zaszokowana samą machiną, dowiadywałam się dopiero, na czym polega kręcenie filmu. Mało myślałam o samej roli. Teraz moje samopoczucie psychiczne jest pod tym względem lepsze.

Jeszcze przed „Trzeba zabić tę miłość” miałam próbne zdjęcia do „Kolumbów”. Mogłam zagrać rolę Basi. Wydała mi się jednak mało ciekawa. Nie odpowiadała mi scenariusz. Inne miałam wyobrażenie o tej powieści, którą czytałam jako nastolatka i byłam nią zachwycona.

— Chociaż film był w Pani życiu pierwszy, stawia go Pani na drugim miejscu...

— W teatrze w dużej mierze sam aktor ponosi odpowiedzialność za wszystko. W filmie reżyser tworzy postać. Oczywiście jestem zainteresowana spotkaniem na planie z takimi reżyserami jak Kutz, którego bardzo szanuję.

Powierzył mi on rolę w realizowanym obecnie filmie wg powieści Ryszarda Kłysia „Znikąd donikąd”. Jest to film o mężczyznach. Ja gram symboliczną postać kobiecą. Reżyser wymyślił dla tej jedynej bardzo frapujące zadania aktorskie.

Film, jeśli dobry, pozostaje jednak dla mnie tylko przygodą, a jeśli zły — pomyłką. Rozwój artystyczny zapewnia przede wszystkim scena. Gdyby zapewniała więcej roli! Jeśli nie spełnia wszystkich nadziei, szuka się gdzie indziej.

— Jest Pani żoną aktora, starszego kolegi z uczelni teatralnej (Piotr Cieślak związał się z Teatrem Powszechnym i studiuje reżyserię w PWST). Czy występujecie czasem razem?

— Mamy oboje z mężem podobne poglądy na nasz zawód. Ufam Piotrowi, gdy ocenia moją pracę. Liczę się z jego zdaniem. Jestem w stosunku do niego surowym widzem. Unikamy jednak wspólnego działania na scenie.

Nasz roczny pobyt w Puławach — pojechałam tam zaraz po szkole, gdy on był już zadomowiony — w niekonwencjonalnym teatrze, który wzbudzał tyle dyskusji, zakończył się powrotem do Warszawy. Nie odpowiadała mi idea tego teatru. Stwarzał za mało szans intensywnej pracy.

Trudno byłoby nam być na jednej scenie, stojąc twarzą w twarz. Zawód aktorski polega na oszustwie. Zbyt dobrze się znamy, aby cokolwiek udawać wobec siebie. Wydawałoby się to śmieszne.

Sobą jestem w życiu prywatnym i moja osoba nie interesuje mnie na scenie. Wybrałam się na studia aktorskie z przekonaniem, że umożliwią mi wczuwanie się w odmienne od mojej osobowości, zapewnią mi ciekawe, bogate, bo wielokrotnie życie.

Rozmawiała:

BARBARA HENKEL

Fot. Marek Holzman